

Co rozumiem przez to pojęcie? Otóż chodzi mi o to, czy Francuz może być na przykład chińskim nacjonalistą, albo Chińczyk dajmy na to niemieckim? Temat jest być może trochę akademicki, ale też moim zdaniem warto go poruszyć, zwłaszcza jeśli dojdziemy do wniosku, że takie zjawisko rzeczywiście występuje.

Do nieco dziwnego tematu „zagranicznego nacjonalizmu” skłoniła mnie, jak to zwykle w życiu bywa, konkretna sytuacja. Jak wiemy, Holendrzy w referendum zablokowali wniosek pozostałych 27 krajów Unii Europejskiej dotyczący ratyfikacji umowy stowarzyszeniowej z Ukrainą. Zmartwiło mnie i zirytowało to wydarzenie, zwłaszcza, że wcześniej Holendrzy zablokowali konstytucję europejską, która w obecnych kryzysowych sytuacjach byłaby na wagę złota. Napisałem zatem [mocno krytyczny wobec Holendrów artykuł](#).

Głównym elementem tego artykułu nie była nawet sama ocena efektu tego referendum, ale w ogóle okoliczności, w jakich się ono odbywało. Do referendum doprowadził egzotyczny sojusz sił radykalnie lewicowych i prawicowych. Twarzą kampanii był między innymi Wilders, holenderski nacjonalista, którego krytykuję, ale też szanuję za wspaniałą obronę wolności słowa i prawa do krytyki islamu.

Oczywiście Wilders ma i miał prawo do swoich przekonań. Ja jednakże skrytykowałem przede wszystkim to, że Holendrzy nie głosowali „za” czy „przeciw” Ukrainie, ale w celu dania nauki Unii Europejskiej, co wyraźnie podkreślali inicjatorzy referendum. Moja krytyka Holandii była tak ostra z uwagi na to, że dwóch naszych publicystów i redaktorów – Piotr Napierała i Andrzej Dominiczak uważa Holandię za godny przykład społeczeństwa obywatelskiego i sprawiedliwej demokracji. Wynik referendum wywołał u mnie dysonans poznawczy

w stosunku do tej opinii. Przypomniałem sobie też zablokowanie konstytucji europejskiej.

Moje stanowisko wzbudziło kontrowersje u moich kolegów. Piotr stwierdził, iż jako zwolennik demokracji nie mam prawa krytykować wyników referendum. Dziwny to argument, gdyż nie krytykowałem samej instytucji referendum, ale jego wynik. Stwierdziłem na bazie wyniku referendum i okoliczności, w jakim ono zaistniało, że ciężko mówić o Holendrach jako o „urodzonych i świadomych” demokratach, którzy dbają o to, aby wiedzieć, nad czym głosują.

Piotr podał też lepszy argument, jakim jest ogólne zniechęcenie Unią Europejską i możliwość podobnych wyników w przypadku każdego referendum w UE. Mimo to w żadnym z pozostałych 27 krajów UE mieszkańcy nie doprowadzili do rozpisania dziwnego referendum „nie na temat”, mającego też podtekst rasistowski, bowiem Ukraińcy zostali w tym wypadku potraktowani bardzo instrumentalnie.

Kolejny argument do rozmowy dodał Andrzej Dominiczak, który w wielu swoich programach wspomina Holandię jako wzór debaty publicznej. Otóż Andrzej zwrócił uwagę na zestrzelenie samolotu z holenderskimi pasażerami nad terenem walk ukraińsko – rosyjskich. Część holenderskiej opinii publicznej wierzy w spiskową opowieść o tym, że choć samolot zestrzelili Noworosjanie, to jednak Ukraina specjalnie wpuściła go na zagrożone niebo, aby doprowadzić do szerszego zainteresowania opinii publicznej swoimi problemami.

Cóż – zwróciłem uwagę, że taka motywacja głosujących też jest możliwa, ale nie świadczy dobrze o świadomości głosujących i, co za tym idzie, o jakości ich demokracji. Piotr przyznał mi rację, lecz nie zmienił ogólnej oceny mojego artykułu, choć skądinąd wiemy, iż nie cierpi ulegania propagandzie Putina. Odniosłem wrażenie, iż Holendrom, których się lubi, można pozwolić na więcej...

Widząc z jednej strony na naszym portalu zbyt stronnictwą obronę takich państw jak Holandia (ale też Niemcy, Belgia, Francja czasem też Rosja etc.), a z drugiej strony bardzo ostrą niekiedy krytykę polskiego społeczeństwa, [napisałem artykuł „Antypolonizm”](#). Starłem się w nim przedstawić tezę, że mimo obecnego rządu i części społeczeństwa, które to popiera, nie jesteśmy „ostatni z ostatnich”. Nie należy hołdować jakiejś manii wielkości, ale z drugiej strony nie należy popadać w kompleks niższości. Jesteśmy stosunkowo biednym i obecnie nieco politycznie zaburzonym zakątkiem Zachodu, na mapie świata jesteśmy w czołówce państw rozwiniętych, choć nie w pierwszej dwudziestce. Mamy ciekawą kulturę, która jest na świecie rozpoznawalna i ceniona, choć nie aż tak jak francuska, niemiecka, włoska czy japońska.

Na mój artykuł pół żartem pół serio odpowiedział Piotr Napierała, sugerując, iż grozi mi stanie się nacjonalistą. Nie sądzę, prawdę mówiąc. Nie mam nic przeciwko dużej ilości osób z zagranicy w moim kraju, w moim mieście etc. Często się z nimi spotykam, jest miło, jak chcą przyjąć nasze obywatelstwo – tym fajniej. Obawiam się jedynie polityki UE wobec napływu muzułmanów, ale nie mam również nic przeciwko Arabom, Irańczykom, Turkom jako takim – jeśli mam gwarancję, że nie są fundamentalistami religijnymi, nasze relacje są zazwyczaj owocne i przyjazne. Jeśli wiem, że poparliby karę śmierci za apostazję, albo widzą „coś cennego” w działaniach ISIS, wtedy zachowuję dystans, ale ciężko to nazwać nacjonalizmem, mam nadzieję...

Jednakże stwierdzenie Piotra trwało zawieszony w powietrzu: „staczasz się w odmęty nacjonalizmu”... „Jeszcze nie, ale ostrzegam”. Przypomniałem sobie gorącą obronę Holandii ze strony Piotra i Andrzeja i spytałem o to, co jest treścią tego artykułu – czy Polak może być „zagranicznym nacjonalistą”? Czy może być na przykład holenderskim nacjonalistą? Wilders jest Holendrem i holenderskim nacjonalistą. To akurat nie dziwne. Ale co jeśli jakiś Polak gorąco broni efektów

nacjonalistycznych działań Wildersa, choć wcześniej (słusznie moim zdaniem) grzmiał na Europejczyków ulegających propagandzie Putina? A motywacją dla tej niespójności opinii jest tu zapewne po prostu podziw dla Holandii i jej mieszkańców?



Piotr odpisał mi, że można być tylko „holendrofilem”. Polak

nie może natomiast być holenderskim nacjonalistą. O ile Piotr raczej na pewno jest holendrofilem, a nie holenderskim nacjonalistą, to jednak mam wrażenie, że chyba jednak można być nacjonalistą innej nacji niż własna. Tę refleksję podsuwa mi moje miasto – Wrocław, które jako Festung Breslau walczyło o nazistowskie „ideały” jeszcze po upadku Berlina. A w fanatycznych jednostkach broniących nazistowskiego Wrocławia byli nie tylko Niemcy. O tym, że obrona była ideologiczna, świadczą wspomnienia niemieckich Wrocławian. W pewnym momencie elitarne jednostki armii Hitlera zaczęły we Wrocławiu terroryzować mieszkańców miasta, aby skłonić ich do oporu „aż do końca”. Nie jest zatem prawdą teza, że to tylko Breslauerzy bronili swoich domów i rodzin.



Niemiecki nazizm popierało sporo osób nie będących Niemcami, godzących się z tym, że Niemcy są „rasą panów”, zaś oni (Francuzi, Rumuni, Holendrzy, Szwedzi) są „prawie rasą panów” czy „nieco gorszą podrasą rasy”. Moim zatem zdaniem przykładowy Francuz broniący Festung Breslau z uwagi na fanatyczną wiarę w nazizm był niemieckim nacjonalistą. Godził się na to, że jest „trochę gorszy” nie będąc „rasowym Germaninem”, ale wierzył w „Wielką Germanię”. Oczywiście w dzisiejszych czasach nie mamy do czynienia z tak skrajnym szaleństwem ze strony Europejczyków, ale wydaje mi się, że Polak może być rosyjskim czy holenderskim nacjonalistą. Wystarczy, że w pełni i aktywnie będzie wierzył w rosyjski czy holenderski nacjonalizm. Ja również jestem na przykład

germanofilem do pewnego stopnia – uwielbiam muzykę Wagnera, Bachów, Schuetza, Mozarta, Beethovena etc., lubię czytać Goethego, ETA Hofmana, Schillera, cenię nadreński gotyk i romanizm, lubię neoklasycyzm berliński, lubię też samych Niemców, z którymi utrzymuję częste kontakty – ale nie znaczy to, że patrzę na świat z perspektywy niemieckiego nacjonalizmu.

Sami przyznacie, że problem jest nieco egzotyczny i akademicki. Tym niemniej, jako że racjoniści wypada uznać nacjonalizm za postawę irracjonalną (w przeciwieństwie do patriotyzmu), uważam, że być może warto poszerzyć refleksję na temat postaw nacjonalistycznych o taki aspekt.